Eduardo Mendoza

Awantura o pieniądze albo życie

tłumaczenie: Tomasz Pindel

Promienie słońca padły na mnie, kiedy znajdowałem się na chodniku przed mym domem. Z ulgą przyglądałem się spokojnemu niebu, wiatr był umiarkowany, bez zauważalnych utrudnień dla ruchu powietrznego. Odczekałem chwilę i pojawił się swami w swoim samochodzie. Przyjechał z lotniska i usprawiedliwił to niewielkie spóźnienie koniecznością zatankowania, a kiedy już znalazł się na stacji, przyszło mu do głowy, żeby dać auto do myjni, żeby pięknie błyszczało, stosownie do okazji. Wcześniej zostawił Julego i Quesito na lotnisku; tego pierwszego jako żywy posąg, który obserwuje ze swojego podestu rozwój wypadków w terminalu, a Quesito strategicznie usiadła w barze, udając, że je śniadanie i przegląda czasopismo, acz tak naprawdę będąc w gotowości, by kiedy tylko zajdzie taka konieczność, dać Julemu sygnał zgodnie z umówionym systemem.

Pojechaliśmy po Kurczaka Morgana, a ów czekał jużw umówionym miejscu, ubrany po cywilnemu i z wielkim pakunkiem, który wsadził do bagażnika peugeota 206. Natomiast trzeba było kilka razy zadzwonić domofonem, żeby Cándida raczyła zejść, a kiedy wreszcie się pojawiła, sprawiała wrażenie bardzo stremowanej. Żeby uspokoić nerwy, wypiła parę litrów naparu z mięty, toteż co chwilę udawała się, jak to skromnie nazwała, na stronę. Już w samochodzie, siedząc z tyłu obok Kurczaka Morgana, wyraziła obawę, że w kluczowym momencie akcji może znów poczuć tę potrzebę.

– Tym się nie przejmuj – powiedziałem, próbując zamaskować irytację, którą wzbudzało we mnie jej wrodzone bęcwalstwo, ale nie chciałem pogarszać jej stanu nerwowego – pomyśl, że zastąpisz bardzo ważną kobietę, z której rozkazami nikt nie dyskutuje. Gdziekolwiek byś była, jeśli najdzie cię ochota, by udać się na krótko, a nawet na długo, na stronę, pójdziesz sobie do kąta i zrobisz to, co potrzebujesz, z całkowitym spokojem. Pamiętaj, żeby potem umyć ręce. Osoba, którą zastąpisz, ma władzę, ale także klasę.

Ta uwaga uraziła Cándidę. Zamiast mi odpowiedzieć, zwróciła się do towarzysza obok i powiedziała:

– Proszę się nim nie przejmować. Jeśli czegoś mam w nadmiarze, prócz lat i kilogramów, to właśnie klasy. Nie chodziłam do elitarnej szkoły, ale pracując na ulicy, obcowałam ze śmietanką towarzyską. Wystarczy powiedzieć, że miałam raz zaszczyt trzepać kapucyna samemu arcybiskupowi Tudeli! Był oczywiście po cywilnemu, logiczne, ale na pożegnanie wyjawił mi swoją tożsamość i zamiast byle monetą zapłacił mi szkaplerzem, który zawsze noszę pod halką.

Nie opowiadam tego, żeby się popisywać, tylko żeby pan wiedział, panie Morgan.
– Możesz mi mówić Kurczak, skarbie – odparł ów, który mimo upływu lat i przeciwności losu nigdy nie pozbył się swoich manier starego oszusta.

Zajęci rozmową i dzięki płynnemu ruchowi zajechaliśmy na lotnisko o przewidzianej porze oraz w dobrych nastrojach.

Przed jednymi z tych wielkich obrotowych drzwi terminalu wysiedliśmy, Kurczak Morgan, Cándida i ja, wyciągnęliśmy tobołek z bagażnika, a swami pojechał zaparkować. Kiedy wchodziliśmy do holu, zegary wskazywały cztery minuty po ósmej. Juli tkwił na posterunku, a Quesito na nasz widok przytknęła prawą rękę do lewego ucha na znak, że nie zaszło nic niezwykłego czy mogącego zakłócić plan. Spokojnym krokiem udaliśmy się do strefy z ubikacjami najbliższej wyjścia dla pasażerów, wybierając najlepszą dla naszych celów kabinę dla niepełnosprawnych, większą i mniej uczęszczaną niż pozostałe. Zamknąłem drzwi na zasuwkę i Kurczak Morgan rozpakował tobołek, i rozłożył swoje wspaniałe stroje. Na ich widok Candida gwizdnęła głośno z uznaniem, czemu towarzyszyła obfita erupcja ślinianek. Uciąłem te frywolne reakcje surowym napomnieniem.
– Przestań się wygłupiać i wkładaj to. Niemcy mają obsesję na punkcie dokładności. Jeśli pani Merkel powiedziała, że przyleci o dziewiątej, to przyleci o dziewiątej, choćby się świat walił. Musimy być wtedy gotowi. Bezpośrednio na swój dres, jakby się obawiała, że jeśli mi go zostawi, to najpewniej zgubię, włożyła wytworne odzienie. Potem Kurczak Morgan umieścił jej na głowie perukę z lokami, efektowną biżuterię i tekturową koronę.
– Zrobicie mi zdjęcie? – zapytała Cándida, obejrzawszy w lusterku nad umywalką efekt tych działań.
– Zdjęcie? – wykrzyknąłem. – Cándida, będziesz we wszystkich mediach! Od dziś ciągle będzie cię bolała ręka od dawania autografów na ulicy. Ale pamiętaj, co ci mówiłem: dyskrecja i umiar.
– Zaufaj mi: urodziłam się artystką. Jak mówisz, że się nazywa ta pani, za którą dziś robię?
– Angela Merkel.
– No masz. Nie mogła być cesarzowa Sissi? Jest bardziej znana.
– Dobra. Przyjmij, że jesteś Sissi, ale nikomu tego nie mów. Ogranicz się do uśmiechów i machania ręką, bez min i póz. I nie otwieraj ust. Chłód jest przypisany majestatowi.
– A jeśli każą mi wygłosić mowę?
– To im opowiesz to o arcybiskupie Tudeli. I starczy już gadania. Wyjrzę, jak tam na zewnątrz.

Prawdę mówiąc, wcale mnie nie obchodziło, co Candida powie albo czego nie powie, bo nie miałem wątpliwości, że nasze oszustwo szybko wyjdzie na jaw. Chciałem tylko zyskać trochę czasu, by uratować Angelę Merkel, zanim maskarada zostanie zdemaskowana, zatrzymają Candidę i zostanie jej

wymierzona kara przewidziana przez prawo za podszywanie się pod zagranicznych dygnitarzy. Poważniejszego wykroczenia zamierzałem dokonać ja, bo miało to być uprowadzenie – choć na krótko i bez żadnych żądań – znanej osobistości; ale liczyłem na łaskę w uznaniu czystości mych intencji oraz wielkich korzyści, jakie światu w ogólności, a naszemu miastu w szczególności, miały przynieść moje czyny. Na razie jedynym, co mnie martwiło, była nie tyle trudność z dokonaniem podmiany tak, żeby eskorta pani kanclerz się nie zorientowała, ile to, jak przekonać ją samą, by współpracowała przy tym porwaniu, częściowo dlatego, że nie dysponowałem mocnymi argumentami, a częściowo dlatego, że choćbym i dysponował, to ciężko by mi było szybko i jasno wyłożyć je w języku, którym nie władałem. Starałem się opanować ów niepokój, stwierdzając, że nawet najlepiej wymyślone plany mają jakieś momenty wymagające improwizacji *ad hoc*.

Wychyliłem się ostrożnie przez drzwi toalety dla niepełnosprawnych i przekonałem się, że choć w hali przylotów wszystko wydawało się przebiegać bez zakłóceń, przynajmniej dla osoby nieświadomej naszych zamiarów, to pewne znaki zwiastowały bliskość tej wielkiej chwili. Juli odwracał się niepostrzeżenie na swoim podeście, aż znalazł się dokładnie naprzeciwko bocznych drzwi usytuowanych w lewym rogu korytarza, między sklepem z odzieżą sportową a kioskiem z czasopismami i gazetami, na których to drzwiach widniał napis „Przejście tylko dla personelu ”. W pobliżu tych drzwi, maskując się w kompletnie nieudolny sposób, kręciło się wielu agentów w cywilu oraz jacyś młodzi ludzie udający, że nie dostrzegają gniewnych spojrzeń tych pierwszych. Domyśliłem się, że to dziennikarze, powiadomieni przez jakąś wtyczkę czy kontakt o planowanym miejscu przejścia orszaku, kręcą się w nadziei na wywiad na wyłączność albo przynajmniej krótkie oświadczenie. Quesito opuściła swoje stanowisko w barze i skierowała się do miejsca, gdzie byłem ja. Przechodząc obok mnie, szepnęła, nie zatrzymując się, coś na temat wiadomości otrzymanej esemesem i wsunęła mi zwiniętą karteczkę w dłoń. Nie rozwijając jej, wróciłem do toalety dla niepełnosprawnych. Kurczak Morgan i Cándida spojrzeli na mnie z ciekawością.

– Już?

– Nie.

Rozwinąłem zwitek i odczytałem wiadomość przekazaną przez Quesito. „Tata jeszcze żyje stop zamiast 500 zebrałem tylko 116 stop powodzenia Siau”. Ponownie wyjrzałem na korytarz. Przed bocznymi drzwiami robił się coraz większy ruch. Agenci pochylali się, zasłaniali usta dłońmi i rozmawiali po cichu z klapami swoich marynarek, jednocześnie drugą ręką gładzili ukryte w innych zakamarkach tychże marynarek kolby pistoletów. Jeden z dziennikarzy wyjął aparat fotograficzny. Został natychmiast zatrzymany, zaprowadzony do sklepu odzieżowego i poddany torturom oraz upokorzeniom. Zegar wskazywał ósmą pięćdziesiąt osiem. Po raz ostatni wróciłem do ubikacji dla niepełnosprawnych i dałem im znak. Kurczak Morgan ulokował sobie gardenię w butonierce, monokl

w prawym oczodole oraz melonik na głowie. Wziął Candidę pod ramię i ruszyli. Oboje byli bladzi, ale ten detal nie dość, że ich nie zdradzał, to jeszcze przydawał im bardzo przekonującego nordyckiego poloru.

Opuściwszy naszą kryjówkę, ruszyliśmy w stronę bocznych drzwi, próbując pozostać niezauważonymi w licznym zgromadzeniu na korytarzu oraz kłębowisku dziennikarzy i strażników. Kalkulacja okazała się całkowicie rafna: kiedy znaleźliśmy się kilka metrów od naszego celu, otwarły się drzwi i wkroczyła cała świta. Najpierw wyszło czterech bardzo elegancko ubranych agentów: białe koszule, krawaty, ciemne okulary. Prawdopodobnie stanowili osobistą eskortę pani Merkel i byli bardzo niebezpieczni. Na szczęście neutralizowała ich chmara sekretarzy, asystentów i popychadeł, cechująca się małą skutecznością przy stawiania oporu rękami i nogami. Potem ukazał się osobnik należący zapewne do protokołu na lotnisku, bo szedł z plecami zgiętymi w kabłąk, szyją skręconą ku górze, a na ustach miał uśmiech graniczący z rechotem. A kilka centymetrów od tego sztywniaka, pewnym krokiem i z groźnym spojrzeniem wkroczyła na korytarz Angela Merkel, ubrana w dyskretny żakiet beżowej barwy i z uczesaniem, które, szczerze mówiąc, nie licowało z jej urzędem. Ze skurczonym sercem spojrzałem w drugą stronę i odetchnąłem. Korytarzem kroczyła w zwartym szyku, pokrzykując i intonując śpiewy, manifestacja, na której czele znajdował się siedmiometrowy transparent z napisem:

WILKOMMEN

A niżej:

NIEMIECKA MNIEJSZOŚĆ W KATALONII
NIECH ŻYJE ANGELA MERKEL I NIECH ŻYJE
GENERAŁ TAT!

Było to tych stu szesnastu Chińczyków zrekrutowanych, poinstruowanych i wyekspediowanych przez panaSiau. Jako że nie miał zbyt wiele czasu, by zorganizować swoich ludzi, tylko w pierwszych rzędach szło parę osób przebranych za Tyrolczyków. Pozostali mieli na sobie stroje, jakie udało im się znaleźć w ich własnych sklepach: Batman, Ferran Adria, Hulk i inni idole. Mimo to całość sprawiała korzystne wrażenie, a w każdym razie wywoływała zamieszanie konieczne do tego, by najdelikatniejsza część planu zakończyła się sukcesem. Co logiczne, siły bezpieczeństwa próbowały zagrodzić im drogę stanowczymi rozkazami i groźbami, ale ponieważ Chińczycy nie rozumieli, co się do nich mówi, a strażnicy nie ośmielali się uciekać do przemocy, a tym bardziej sięgać po broń, przeciwko mniejszości niemieckiej, rychło zostali przytłoczeni liczebną przewagą i zapanował chaos. Korzystając z niej, Cándida, Kurczak Morgan i autor niniejszej relacji doskoczyli do Angeli Merkel. Cándida i Kurczak Morgan stanęli w jej miejscu, a ja, z braku lepszego pomysłu,

złapałem ją za rękę i pociągnąłem za sobą, mówiąc, by podążała mym śladem. Adresatka moich słów spojrzała na mnie uważnie, zamrugała zaskoczona, zawahała się przez sekundę i ruszyła za mną z zaskakującą spolegliwością.

Zanim policja odzyskała kontrolę nad sytuacją przy wsparciu personelu lotniska oraz kilku podróżnych, którzy zwabieni tym zamieszaniem pośpieszyli z pomocą, Angela Merkel i ja dotarliśmy na parking, gdzie czekał na nas swami w samochodzie z pracującym silnikiem. Usiedliśmy z tyłu peugeota 206 i ruszyliśmy z kopyta. Dotarliśmy do szlabanu, swami wsunął bilet parkingowy i wyjechaliśmy bez przeszkód. Po chwili mknęliśmy szosą w stronę Castelldefels. W sumie cała operacja zajęła półtorej minuty, i to hojnie licząc. Zgodnie z moimi przewidywaniami w tym momencie manifestacja pewnie została rozpędzona, zaś policja i osobista eskorta pani kanclerz oraz personel lotniska aktualnie łoili skórę Cándidzie. Wpakowaliśmy się w gęsty ruch kołowy, więc swami zwolnił, a kiedy zbliżaliśmy się do Rondy, skorzystał z względnego spokoju i przy tej okazji zaczął objaśniać szanownej pasażerce najciekawsze punkty mijane w drodze.

– *Voila* salon mody Pronovias. *Voila* dom towarowy El Corte Inglés. A tam daleko, *in der ferne*, nowy stadion Espanyola. *Hier alles* Barça – Barça, *aber ich* fan na całe życie.

Jego starania nie dawały jednak efektu. Angela Merkel nie spuszczała oczu z mego plebejskiego profilu, nie okazując zarazem ani zaskoczenia, ani lęku, ani oburzenia.

I tak dojechaliśmy pod drzwi restauracji Sprzedam Psa.